

HANKA LEMAŃSKA



CHICHOT
LOSU



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

CHICHOT
LOSU

HANKA LEMAŃSKA

CHICHOT
LOSU

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Michał Węgrzecki, Mateusz Osiadacz,
Barbara Węgrzecka, 2011
All rights reserved

Projekt okładki
Agnieszka Herman

Redaktor techniczny
Teodor Jeske-Choiński

Zdjęcie na okładce
Wojciech Wojciechowski i Olga Kamińska
www.fotokultura.pl

Dziękujemy Wojciechowi Wojciechowskiemu oraz Oldze
Kamińskiej (www.fotokultura.pl) za udostępnienie zdjęć
na okładkę.

ISBN 978-83-7506-800-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.p

Zastanawiam się, co by się stało, co mogłoby się stać, gdybym tamtego wieczoru nie odebrała telefonu. Mogło mnie nie być w domu. Mogłam wyjechać albo umówić się z dziewczynami. Cokolwiek. Nie wyjechałam, odwołałam wieczorne spotkanie. Padałam na nos, bolała mnie głowa i marzyłam tylko o jednym — zasnąć. Gdybym wtedy nie zasnęła, być może dalszy ciąg tej historii potoczyłby się zupełnie inaczej.

Koło dwunastej obudził mnie jazgotliwy dźwięk telefonu. Odruchowo sięgnęłam po słuchawkę i być może był to najbardziej istotny gest w moim życiu.

— Joanna, przepraszam, wiem, że cię budzę, ale zrozum, to naprawdę wyjątkowa sytuacja — usłyszałam po drugiej stronie głos Elżbiety.

— Stało się coś? — zapytałam sennie.

— Ja wiem, że to o co cię poproszę... Zrozumiem, jeśli mi odmówisz... — Elżbieta była wyraźnie skrepowana.

— No, wyduśże wreszcie o co ci chodzi. Kobieto, jest po dwunastej, o tej porze ludzie śpią — zaczęłam się niecierpliwić.

Jeśli Elżbieta zdecydowała się już dzwonić do mnie o północy, to przynajmniej mogłaby w miarę sprawnie wyartykułować swoją prośbę. Mogę zrozumieć, że ma do rozwiązania niecierpiący zwłoki problem, w którego rozwiązaniu z niewiadomych powodów muszę uczestniczyć, ale koniec końców to mój sen i mój wypoczynek. A ja chcę spać.

— Czy mogłabyś zostać przez trzy dni z moimi dziećmi? Pani Aniela trafiła dziś do szpitala. Wiesz, pani, która zajmuje się dziećmi. Lekarze mówią, że to zawał. Rano wyjeżdżam, szef wysyła mnie do Katowic. Nie mam nikogo, kogo mogłabym o to poprosić. Zrozum, stoję pod ścianą. Muszę jechać. Po prostu muszę. Jeśli odmówisz, wyleją mnie z roboty.

Czy ona zwariowała? Ja i dzieci? Ależ mnie boli głowa! Dlaczego ona chce, żebym zajmowała się jej dziećmi? Dlaczego ja? Nie znam się na dzieciach. Nie cierpię dzieci. Nawet znajomych z dziećmi unikam jak ognia. Dzieci oznaczają przecieranie zupek, pieluchy i dziecięcy egoizm. Rodzinne wyprawy na lody, lepsze ręce i brud. Bałagan. Nie cierpię bałaganu, brudu i lepkich rąk.

— Właściwie to one nie wymagają specjalnej opieki. Łukasz do piątej jest w przedszkolu. Aśka, no wiesz, ona sama sobie radzi. Chodzi tylko o to, żeby ktoś był z nimi wieczorem i rano pomógł im się zebrać. To tylko trzy dni. Proszę — Elka dalej jęczała do słuchawki. — Słuchaj, one są naprawdę mało kłopotliwe.

Milczałam. Usiłowałam co prawda myśleć, ale w zamroczonej bólem i snem głowie miałam pustkę.

Elżbieta mówi, że są mało kłopotliwe. Może i tak, może w porównaniu z innymi... Nie znam innych, więc nie mam porównania. Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby czyjekolwiek dzieci mogły być mało kłopotliwe. Sam fakt przebywania z dzieckiem pod jednym dachem powoduje kłopoty.

A z drugiej strony, o ile wiem, ona naprawdę nikogo nie ma. Poznałyśmy się jakieś trzy lata temu przy okazji realizacji któregoś z firmowych projektów i jakoś tak od razu się polubiłyśmy. Od tego czasu przyjaźnimy się ze sobą. Może inaczej — dla Elżbiety to przyjaźń, dla mnie znajomość. Chyba nie mam przyjaciół. Nie mam czasu na przyjaciół. O znajomych dziewczynach mówię „przyjaciółki”, ale naszym związkom do przyjaźni daleko. Tak samo jest z Elką. Dzwonimy do siebie od czasu do czasu, a właściwie głównie Elka dzwoni do mnie. Czasem spotykamy się gdzieś na mieście, ale rzadko, bo ona ma dzieci, a ja dla odmiany dużo pracuję. Rozmawiamy wtedy trochę o pracy, trochę o życiu, Elżbieta opowiada o dzieciach, plotkujemy o wspólnych znajomych.

Zdaje się, że jej mąż wyjechał do Stanów zaraz po urodzeniu się Łukasza. Potem zginął albo zaginął, już nie pamiętam. Kiedyś mi o tym opowiadała, ale pewnie nie słuchałam zbyt uważnie. Jej rodzice chyba nie żyją. Jakaś ciotka pod Szczecinem? Wspominała mi też coś o ciotce. Może to nie ona, może to ktoś inny miał tam ciotkę. Sama już nie wiem.

— No więc zgodzisz się? Proszę, to dla mnie ważne. Przecież to tylko trzy dni... — usłyszałam błagalny głos Elki.

Głowa zaraz mi pęknie. Brałam co prawda proszek przeciwbólowy, ale widać nie pomógł. Wziąć jeszcze jeden? Nie wiem, może dwa proszki to za dużo. Aha, dzieci Elki... Co się robi z jej dziećmi?

— Właściwie co miałyby z nimi robić? — niechże ona wreszcie skończy, chcę dalej spać!

— Niewiele. Odebrać Łukasza o piątej z przedszkola, potem go wykąpać, dopilnować, żeby po dobranocce poszedł spać. Asia zajmie się sobą. Rano trzeba ich obudzić, wyprawić z domu. W czwartek wieczorem będę z powrotem. Joanna, proszę...

— Elka, nie wiem, czy będę umiała.

Najchętniej odpowiedziałabym, że mowy nie ma, w żadnym wypadku, nigdy, za nic, absolutnie wykluczone. Tylko że kogo ona znajdzie do opieki nad dziećmi w środku nocy? Nikogo. No tak, ale dlaczego ja? Bo się przyjaźnimy? Przecież ja ich nie znam, tych jej dzieci. Tyle, co z opowiadań. No nie, kiedyś je widziałam. W życiu nie spędziłam więcej niż pół godziny sam na sam z żadnym dzieckiem. A ona mi mówi o trzech dniach. Ale ona naprawdę nikogo nie ma. Cholera!

— No dobrze, niech ci będzie. Gdzie to przedszkole? — zapytałam z westchnieniem.

— Tuż obok nas, na podwórku. On jest w trzeciej grupie, w pięciolatkach. Rano powiem wychowaw-

czyni, że odbierzesz go ty, a nie pani Aniela. Klucze zostawię ci w przedszkolu.

Dobrze, że ten dzieciak ma jakieś nazwisko. Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do mnie jego wychowawczyni odróżnia go od całej reszty. Bo ja nawet nie jestem pewna, jak on wygląda. Zwyczajnie nie pamiętam. Mogłabym przez pomyłkę odebrać niewłaściwego.

— Łukasz na śniadanie jada płatki z mlekiem. Aha, Aśce trzeba przypomnieć, żeby nakarmiła kota. Karma dla kota jest w...

Masz ci los, jeszcze kot na dodatek! Ale się wpakowałam! Nie znoszę kotów może nawet bardziej niż dzieci. Rozumiem, że ktoś może chcieć mieć psa. Sama bym chciała, gdyby nie ten mój wariacki tryb życia. Albo późno wracam, albo dla odmiany wyjeżdżam na szkolenia. Ale kot? Jak w ogóle można chcieć mieć kota?

— I niech Aśka robi sobie rano kanapki do szkoły, bo ciągle o tym zapomina. A na obiad...

Niechże ona wreszcie przestanie mówić! Chcę już zasnąć. Reszta potoku słów Elżbiety ginie w sennych majakach.

Rano obudziłam się nieco spóźniona, ale przynajmniej wolna od bólu głowy. Tyle dobrego. Szybko przebiegłam w myślach plan dnia. Narada, prezentacja u klienta, spotkanie z szefem. Aha, odebrać Łukasza. Żebym tylko nie zapomniała.

W ciągu dnia z trudem udało mi się wyrwać chwilę na szybką kawę. Siedziałam w firmowej kuchence nad

parującą filiżanką, gdy w drzwiach stanął mój kumpel, współpracownik i zaciekle adwersarz w kwestiach dotyczących projektów szkoleń prowadzonych przez naszą firmę. Czasem również rywal.

Lubię Marcina. W zasadzie jest w porządku, chociaż denerwuje mnie jego nieustanne udowadnianie, że jest lepszy ode mnie, tylko dlatego, że jest facetem.

A może to ja usiłuję udowodnić, że nie jestem od niego gorsza? Od żadnego z nich?

— Coś taka zamyślona? — zapytał.

Ale on wielki! Oparty o framugę zasłaniał sobą całe drzwi.

— Nic, tak sobie — zaczęłam bez przekonania. — Bo mi się sytuacja rodzinna zmienia. Na trzy dni mi się zmienia i myślę, jak sobie z tym poradzę.

— Wychodzisz za mąż na trzy dni? To do ciebie podobne — zauważył nieco ironicznie.

— Chciałam zauważyć, że za mąż to można co najwyżej za trzy dni, a nie na, ale nie. Zostaję zastępczą matką.

Marcin aż zagwizdał z podziwu.

— No, no... Ty i dzieci! Nigdy bym cię o to nie posądził.

— Sama bym się o to nie posądziła, ale widzisz, Marcinku, przeznaczenie. Widać los tak chce. Dobrze, że tylko na trzy dni, więcej w żaden sposób bym nie zniosła.

— I co zamierzasz z nimi robić?

— Generalnie zadbać, żeby się nie pozabijały. Bla-

dego pojęcia nie mam, co się robi z dziećmi. Karmi? Przewija?

— A duże one, te dzieci? — dopytywał się coraz bardziej zaintrygowany Marcin.

— Łukasz chyba coś koło pięciu, a Aśka... Bo ja wiem? Taka raczej niska i z piegami. Chuda. Podstawówka, ale nie wiem, która klasa. A może już gimnazjum? Ze dwa razy w życiu je widziałam. Przemęcę się jakoś przez te trzy dni i więcej się nie spotkamy. Chyba, że na ich weselu.

Marcin pokiwał głową ze zrozumieniem. Swoją drogą ciekawe, czy on sam ma dzieci. Nie wygląda na dzieci, ale też przyznaje, że nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dziwne, prawda?

Ludzie pracują razem od jakiegoś czasu i prawie nic o sobie nie wiedzą. To znaczy coś wiem, na przykład to, że Marcin jest świetnym fachowcem. Powiem więcej, jest jednym z najlepszych fachowców, jakich znam. Jest prawie tak dobry jak ja. Jeszcze szczypta perfekcjonizmu i nieco mniej bałaganiarstwa, bo Marcin jest niepoprawnym bałaganiarzem, i zdołałby mi dorównać, więc lepiej nie. Niech zostanie, jak jest.

Lubię swoją pracę. Może nie tyle firmę, w której pracuję, nie współpracowników, bo tych, co może wydawać się niemal nieprawdopodobne, znam prawie wyłącznie służbowo, nie szefa nieustannie usiłującego wycisnąć z nas ostatnie krople krwi, szefa, którego poza robotą nikt i nic nie obchodzi, ale samą pracę.

Lubię zajmować się projektami szkoleń, lubię rozmowy z klientami, lubię prowadzić warsztaty, lubię ciągłe wyjazdy i nieustanne poznawanie nowych ludzi. Lubię koncentrację i pośpiech, gdy robota wydaje się prawie niewykonalna i lubię oczarowywać prowadzoną przez siebie grupę, którą z zasady i założenia i tak mam oczarować. To zabawne patrzeć, jak grupa poważnych dyrektorów z rosnącym zapałem angażuje się w zabawy dobrze znane siedmiolatkom, tak, jakby ktoś pozwolił przez chwilę każdemu z nich znów być małym chłopcem. Miło jest zamieniać ich początkowy sceptycyzm w narastający stopniowo coraz to większy entuzjazm. Na warsztatach nikogo nie obchodzi, kim jestem ani jakie problemy ze sobą przywiozłam. Mam być kompetentna, błyskotliwa i budzić sympatię. Każda godzina pracy zamienia się w spektakl, a wyzwanie jest tym większe, że toczące się wypadki raz po raz odbiegają od założonego scenariusza. Muszę być skoncentrowana i czujna. Lubię tę mobilizację i dreszczyk emocji. Wygrana, sukces, to nowe zlecenia dla firmy, a więc i praca dla mnie. Nie ukrywam, że dobrze poprowadzone szkolenie daje swego rodzaju poczucie mocy pozwalające ładować baterie na przyszłość. Od tego uczucia można się uzależnić. W dodatku nieźle za to płać. Na tyle dobrze, że pozwala mi to żyć na godziwym poziomie. W przyszłości może własna firma? Jeszcze nie wiem, nie zdecydowałam. Tu, gdzie teraz jestem, jestem również po to, by nauczyć się jak najwięcej. I to mój dodatkowy zysk.

Telefon szefa przerwał moje dywagacje. Miałam meldować się zaraz, natychmiast, najlepiej pół godziny temu, przynieść w zębach materiały do projektu i nastawić na intensywną pracę. Nastawiłam się.

Nie powiem, trochę mi w tym nastawianiu przeszkodził telefon od Marka.

— To jak? W sobotę? — zapytał.

Marek to mój... Bo ja wiem? Sama nie wiem, jak go określić — stały facet? Narzeczony? Wieloletni partner? No, w każdym razie ktoś, z kim spotykam się od dobrych pięciu lat.

— W sobotę, jak zwykle — potwierdziłam.

Takie telefony to rytuał. Marek dzwoni koło wtorku, umawiamy się na sobotę, spędzamy wspólnie sobotni wieczór, rozstajemy się w niedzielę rano. Koło wtorku Marek ponownie dzwoni, żeby potwierdzić nasze sobotnie spotkanie. Właściwie niczego mi w tym związku nie brakuje, chociaż ostatnio raz czy dwa przemknęła mi przez głowę myśl o tym, co dalej.

Głupia myśl, przyznaję. Przecież póki co jest dobrze tak, jak jest. Tylko czasem mi tak jakoś... O ile dobrze pamiętam, pomyślałam coś o rutynie w długofalowych związkach. Że to normalne. I że do pewnego stopnia nasz związek, o ile można to nazwać związkiem, od samego początku wyglądał właściwie tak samo. Znałczy był przesiąknięty rutyną.

Marek to dobre kolacje w dobrych knajpach, wspólne pogadanie o znajomych, wymiana informacji na tematy zawodowe. Po prostu jesteśmy razem. Od

dawna wszyscy traktują nas jak parę, więc najpewniej jesteśmy parą.

Marek to najbliższa mi osoba w tym wielkim, obcym mieście. Marek i dziewczyny. Rodzice daleko, rodzeństwa nie posiadam. Dobrze, bo przynajmniej z rodzeństwem nie muszę rywalizować.

O przyszłości z Markiem nie rozmawiamy, bo i po co. Wiadomo, że oboje chcemy osiągnąć jak najwięcej, dopóki to jeszcze możliwe. Dopóki jesteśmy jeszcze młodzi, niewiukłani w żadne pozazawodowe obowiązki. Co tu ukrywać, oboje wysoko mierzymy. Oboje nastawieni jesteśmy na sukces i oboje gotowi jesteśmy dać z siebie wszystko. Mamy dla siebie mało czasu, ale w tej sytuacji to normalne. Z góry ustalony rytm naszych spotkań daje mi swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Poza tym Marek mnie nie ogranicza i nie stwarza problemów. Nigdy nie pyta, z kim i jak spędzam pozostałe wieczory.

No, może z tym spędzaniem to trochę przesadziłam. Rzadko kiedy mam dosyć siły, by spotkać się z dziewczynami, a po przeczytaniu dwóch stron książki po prostu zasypiam. Myślę, że z Markiem jest dokładnie tak samo.

*

Od kilku godzin pracowaliśmy sobie z szefem nad wyraz intensywnie i z obopólnym zadowoleniem, gdy niechcący spojrzałam na zegarek. Rany boskie, szósta! O piątej miałam odebrać dziecko z przedszkola! Co oni

robią, jak się nie odbierze na czas? Oddają do przechowalni? Trzeba zapłacić karę? Nie zapytałam Elki, idiotka jedna, przecież wiadomo było, że coś może mi wypaść! Teraz nie ma już czasu na pytanie, natychmiast muszę gnać po tego jej dzieciaka.

Szef był wyraźnie zaskoczony, kiedy zaczęłam nieskładnie mówić coś o dziecku do odebrania z przedszkola, że właściwie to godzinę temu i że naprawdę muszę. Pracujemy razem od kilku lat i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebym w połowie rzuciła rozpoczętą robotę.

Dobrze, że po szóstej korki w tym mieście są mniejsze. Jechałam zdecydowanie za szybko, a mimo to dotarcie do przedszkola zajęło mi prawie pół godziny. Na szczęście budynek przedszkolny wyraźnie odróżniał się od otoczenia. Przynajmniej nie musiałam tracić już czasu na poszukiwanie.

Światła w całym gmachu były pogaszone, tylko w jednym okienku przy wejściu paliła się lampka.

Na progu przywitała mnie bezbarwna kobieta postać w szarym ubraniu.

— Pani po Łukasza? Czy pani nie wie, która godzina? Dzieci odbiera się do piątej, to nie przechowalnia! Jak tak można! Ludzie serca nie mają!

Nawet nie miałam ochoty jej przeproszać. W końcu wiadomo, że ludzie pracują i każdemu może coś wypaść. A zresztą, nie zamierzałam wdawać się w dyskusję. Od razu widać, że ta kobieta i tak niczego nie rozumie. Nie dość, że z dobrego serca zgodziłam się wziąć na siebie zajmowanie się dwójką obcych dzie-

ciaków przez najbliższe trzy dni, to teraz jeszcze ktoś ma do mnie pretensje.

Jeden z tych dzieciaków siedział właśnie najspokojniej na ławeczce w holu, jakby nie zdawał sobie sprawy, że to przez niego to całe zamieszanie. No, może nie całkiem najspokojniej.

Pyzata buzia nosiła wyraźne ślady łez. Na niego pewnie też ta wstrętna baba nakrzyczała.

Ależ on jest nieziemsko brudny! Czy Elka naprawdę nie mogła go rano ubrać w coś czystego? Dobrze, że zapadał już zmierzch, inaczej wstydziłabym się iść z nim przez podwórko.

Podeszłam do niego trochę niepewnie i usiłowałam wziąć go za rękę. Mały zaczął mi się wyrывać.

— Hej, Łukasz, to ja, Joanna. Mama pewnie ci mówiła, że dzisiaj to ja przyjdę po ciebie i że spędzimy razem najbliższe trzy dni? — ze wszystkich sił starałam się być sympatyczna.

Miałam przeczucie, że jeśli się od razu nie dogadamy, to najbliższe trzy doby zamienią się w koszmar.

— Mama mówiła, że przyjdzie po mnie ciocia i że ona ma na imię tak jak ty, ale to nie możesz być ty, bo ona miała być miła, a ty nie jesteś — stwierdził mały.

No nie! Nie dość, że mam się nim zająć, to jeszcze będzie mnie oceniał! Będzie mi mówił, że nie jestem miła! Jakim prawem takie pięcioletnie coś pozwala sobie mówić cokolwiek do mnie na mój temat?! Ocenia mnie i to negatywnie, bezczelny bachor.

— Nie jestem niczyją ciocią — zaprotestowałam.

— A poza tym, miła czy niemiła, idziemy! — Skoro nie da się polubownie, to trudno. Muszę od początku postawić granice, bo inaczej gotów mi wejść na głowę. Ciekawe, czy jego siostra jest taka sama, równie pyskata i arogancka?

I na dodatek ten cholerny kot w perspektywie! Co będzie, jeśli okaże się, że mam alergię na koty?

— Niech go pani przynajmniej ubierze w kurtkę, przecież to marzec! I kaptcie niech mu pani zdejmie! Niech założy buty! I niech pani weźmie klucze! — pokrzykiwała za nami ta bezbarwna.

Cofnęliśmy się od wyjścia. No tak, podobno się spóźniłam, a ona nawet nie zadbała, żeby dzieciak się przebrał. Gdyby wypełniała swoje obowiązki jak należy, to teraz wszyscy stracilibyśmy o wiele mniej czasu. Łukasz jest chyba opóźniony, bo sznurówki butów za nic nie chcą poddać się jego palcom. Ciekawe, Elka nic nie mówiła. Może się wstydzi?

Podczas, gdy mały szamotał się z kurtką, przyglądałam mu się z zaciekawieniem.

Nie był podobny do drobnej, chudej Elżbiety. Dobrze zbudowany, wręcz masywny, duże, niebieskie oczy, strzecha jasnych włosów.

Tylko piegi ma Elki. I zadarty nos. Nie jest ładny. I też chyba nie jest sympatyczny. No cóż, widać mamy ze sobą coś wspólnego.

W milczeniu szliśmy obok siebie przez podwórko. Byłam u nich raz czy dwa i na szczęście zapamiętałam lokalizację bloku.

Zaraz, które piętro? Chyba czwarte. Na wszelki wypadek wolałam nie pytać Łukasza.

Drzwi otworzyła nam miniaturowa kopia Elżbiety.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Łukasz dał wyraz swojemu niezadowoleniu.

— Aśka, zobacz, ona dopiero teraz po mnie przyszła!

— Nie jestem żadna ona — powiedziałam. — Mam na imię Joanna, a spóźniłam się, bo miałam coś ważnego do zrobienia w pracy. Nie mogę tak po prostu zostawić swojej roboty i wyjść — próbowałam się usprawiedliwiać, bo nie wiedzieć czemu zrobiło mi się głupio przed tą smarkatą.

Przez przedpokój przebiegła ruda smuga.

— To Platon — odezwała się w końcu Aśka.

Domyśliłam się, że chodzi o kota. Jeszcze przez chwilę wszyscy staliśmy w milczeniu.

— Może napije się pani herbaty — zaproponowała w końcu Aśka, przerywając niezręczną ciszę. — Pewnie po całym dniu jest pani zmęczona.

— Nie pani, mówcie mi po imieniu — nie da się ukryć, poczułam się zaskoczona. Nie jestem przyzwyczajona do czyjegoś zainteresowania i troski, powodowanej choćby tylko względami dobrego wychowania. Nie ukrywam, że zrobiło mi się z tym dziwnie.

— Mama mówiła, że pani dużo pracuje. W jakiejś ważnej firmie. — Aśka robiła, co tylko mogła, żebyśmy wszyscy poczuli się bardziej normalnie.

Znowu zrobiło mi się głupio. Z nas dwóch to przecież ja jestem dorosła i to mnie powinna przyspaść w udziale ta rola. Ale z drugiej strony to przecież ja tu jestem gościem — próbowałam usprawiedliwiać się sama przed sobą.

— Tak, to prawda, rzeczywiście dużo pracuję.

Co ja mówię? Przecież ja właściwie tylko pracuję, ale co ją to może obchodzić. Taka smarkata nie rozumie praw rządzących światem dorosłych.

— Wasza mama mówiła, że po dobranocce macie iść spać — zaczęłam, próbując narzucić jakieś ramy temu, co się tu dzieje.

— Ja nie, tylko Łukasz — uśmiechnęła się po raz pierwszy Aśka. — Ja jestem za stara na chodzenie spać po dobranocce. To może pomogę przy kolacji? — zaproponowała niespodziewanie. Jak dla mnie niespodziewanie, bo myślałam, że dzieci to stworzenia wymagające nieustannej obsługi. I uwagi.

Wspólne przygotowywanie kolacji okazało się kompletnym niewypałem. Miotałam się bezradnie po obcej kuchni i gdyby nie mała, wszyscy poszlibyśmy spać głodni.

Muszę przyznać, że Aśka znakomicie radzi sobie w roli gospodyni. Zdecydowanie lepiej niż ja. Ale trudno się dziwić, była w końcu na swoim terenie.

Jeszcze gorzej szło mi przygotowywanie Łukasza do snu. Mały wyszedł z wanny równie brudny jak wtedy, gdy kazałam mu iść się umyć. Po jego kąpieli łazienka była dokumentnie zalana wodą. Ciekawa byłam, czy

nie przeciekło do sąsiadów, ale jakoś nikt nie zgłosił się ze skargą. Może co wieczór mają potop i już się przyzwyczaili?

Po kąpieli Łukasz bardzo stanowczo domagał się czytania bajki na dobranoc, a co gorsza to właśnie mnie przypadła rola osoby czytającej. Podobno Elżbieta czyta mu co wieczór. Po godzinnym maltretowaniu „Kubusia Puchatka” czułam się zupełnie wykończona, szczególnie, że mały nieustannie o coś pytał. Jakby nie miał nic lepszego do roboty i nie mógł od razu zasnąć!

Jeden wieczór z potworami wystarczył, żebym zaczęła odczuwać podziw dla Elki. Ja tu tylko na trzy dni, a już pierwszego mam dosyć nieustannej krzątaniny i zamętu. Do tego ten przerażający bałagan.

Mimo starań Aśki po pokoju dzieciaków i kuchni poniewierało się mnóstwo różnych drobiazgów, a pomiędzy nimi przechadzał się wielki, rudy kot. To nie na moje nerwy, ten nieustanny ruch i gwar. U siebie mam ciszę, nikt niczego nie rozrzuca, każdy przedmiot ma swoje od dawna ustalone miejsce. Nie wyobrażam sobie, jak można żyć, mając nie dwoje, a na przykład czworo dzieci. Przecież to istne samobójstwo.

Kiedy w końcu udało mi się zaszyć w pokoju Elżbiety, nie mogłam zasnąć ze zmęczenia.

Rudy kocur ułożył się w nogach łóżka i przyjaźnie pomrukiwał. Byłoby to nawet całkiem miłe, gdyby nie niezaprzeczalny fakt, że nie lubię kotów. Tak przynajmniej sądziłam do dzisiaj.

Budzik zadzwonił o szóstej. Dłuższą chwilę trwało, zanim zorientowałam się, gdzie jestem i co tu robię. W to ostatnie najtrudniej mi było uwierzyć. Ja i dzieci! Jak nic, trzy dni wyjęte z życia. No, zakładając, że zgodnie z umową Elka wróci jutro wieczorem, to w zasadzie dwa i trzy czwarte. Tak brzmiało to znacznie lepiej.

Usiadłam na łóżku. Podstawa to stworzenie właściwego planu działania — pomyślałam. Jeśli stworzę odpowiedni plan, to jego realizacja nie powinna nastreścić już większych trudności. Najpierw chyba trzeba ich obudzić. Jak się budzi dzieci? Potrząsa? Polewa wodą? Prosi? Zielonego pojęcia nie mam. A potem co? Dać śniadanie? Same sobie zrobią? Elka wspominała, że Aśka ma sobie robić kanapki do szkoły. Najpierw sprawdzić, czy w domu jest chleb. Gdzie oni trzymają chleb? Byłam w trakcie przeszukiwania kuchni, gdy przez otwarte drzwi wtoczyło się rude zwierzę.

Platon podszedł do mnie i otarł się o moje nogi. Nie wiadomo dlaczego zaczął miarowo mrużyć. Zupełnie bez powodu. Zabawne. Może też powinnam sprawić sobie kota? Mój własny kot w moim własnym domu... To mogłoby być interesujące. Ciekawe, zawsze sądziłam, że nie lubię kotów... No tak, świetny pomysł, tylko kto się nim zajmie w czasie moich wyjazdów? Już wiem, Elka — w rewanżu. Niech odpracuje, należy mi się jej odpracowanie. Koniec końców, jeden kot przez kilka dni, nawet parę razy pod rząd, tylko do pewnego stopnia równoważy dwójkę jej dzieciaków.

Chleba oczywiście nie było. Może powinnam wystać do sklepu Łukasza? W końcu to mężczyzna. A może tacy mali nie chodzą sami do sklepu? Jeszcze go ktoś porwie i Elżbieta będzie miała pretensje. Chociaż nie, sądząc po wystroju mieszkania, dla okupu raczej go nie porwą. Owszem, dużo kwiatów, książek też u nich nie brakuje, ale poza tym szczerze mówiąc, niewiele tu jest. Wyposażenie na poziomie minimum, meble pamiętające lepsze czasy. Za parę lat może nawet awansują do roli antyków, ale na razie robią wrażenie... No cóż, nie robią specjalnego wrażenia. Tak więc dla okupu to raczej nie. Ale pozostają jeszcze zboczeńcy różnej maści. Jest jednak szósta rano. O szóstej rano chyba nawet zboczeńcy śpią w najlepsze. Nie to, co ja — pomyślałam smętnie.

Moje radosne rozważania przerwał dźwięk budzika w pokoju dzieciaków. Po chwili zza drzwi wysunęła się potargana głowa.

— Cześć — powiedziała Aśka. — Chyba nie ma chleba, zaraz pójde do sklepu. — Łukasz rano jada płatki, trzeba je tylko zalać mlekiem — rzuciła w drodze do łazienki.

No tak, znaleźć płatki. Zakładam, że powinny być gdzieś pod ręką. Rzeczywiście, stały w pierwszej z brzegu szafce.

Nasypałam trochę do miseczki i zalałam mlekiem. Nie wyglądało to apetycznie. Takie płatki podawało się kiedyś z truskawkami i miodem i miało to być dobre na coś, ale na co, już nie pamiętam. Nie wykluczam,

że na cerę. I pomyśleć, że Elżbieta karmi tym pięciolatka. Pewnie chodzi o inwestycję na przyszłość. Wiem, wiem, tenis od drugiego roku życia, języki obce... Fakt, cera też ważna. Za parę lat przyda mu się jak znalazł. Truskawki o tej porze roku prawie nieosiągalne, a o miodzie ani Elka, ani Aśka nic nie wspomniały. Może małym lepiej robi na cerę bez miodu? Albo on ma alergię na miód? Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo.

Śniadanie było już gotowe i nie pozostawało mi nic innego, jak tylko budzić Łukasza. Mały miarowo posapywał przez sen. Nie był ładny, ale uśpiony wyglądał jakoś sympatyczniej. Śpiące dzieci są jednak dużo przyjemniejsze od nieśpiących — pomyślałam. Może dlatego że mniej się ruszają i nic nie mówią?

Podeszłam do niego i delikatnie potrząsnęłam go za ramię. Mruknął coś, odwrócił się na drugi bok i spał dalej.

— Łukasz, wstawaj, spóźnię się do pracy. No, dalej.

— Potrząsnęłam nim znowu, teraz już nieco brutalniej.

— Wstawaj i zacznij się ubierać. I nie zapomnij umyć zębów.

Mały usiadł na łóżku, przecierając zaspane oczy.

— Nie mogę się ubrać. Nie przygotowałaś mi ubrania — powiedział z wyrzutem.

Masz ci los! Sam sobie nie może przygotować? Otworzyłam pierwszą z brzegu szafkę.

Jakieś bardzo kolorowe bluzki to chyba nie jego? Jest jeszcze jakaś spódnica. Nie, to raczej szafa Aśki. W na-

stępnej znalazłam kolekcję miniaturowych męskich ubrań. Co ja mam mu dać? Wczoraj w przedszkolu wyglądał jak ostatnia fleja. Jest! Aksamitny garnitur, do tego biała, starannie wyprasowana przez Elkę koszula. Może być. Przynajmniej nikt mi nie zarzuci, że nie dbam o tymczasowo powierzone mi potomstwo mojej przyjaciółki.

Łukasz popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nie patrz, tylko się ubieraj! Mamy mało czasu. Już ci mówiłam, że jeśli będziesz się guzdrał, spóźnię się do pracy.

Mały posłusznie sięgnął po ubranie. Po dłuższej chwili pojawił się w kuchni. Zabawnie wyglądał elegancko ubrany, ale za to bosy i z potarganą czupryną.

— Łukasz, pospiesz się, śniadanie czeka.

Usiadł przy stole i wlepił wzrok w stojący przed nim talerz.

— Co to jest? Nie będę tego jadł! Obrzydliwie wygląda — stwierdził.

— Wszystkie dzieci na całym świecie jadają to na śniadanie. Lekarze mówią, że mali chłopcy powinni rozpoczynać dzień od takich płatków z mlekiem. Wiesz, robią się od tego duzi i silni — starałam się brzmieć wiarygodnie.

— Od takich płatków? — Aśka z torbą pełną świeżych bułek wyrosła jak spod ziemi.

— Coś z nimi nie tak? — nie czułam się już taka pewna siebie.

— Jak by ci to powiedzieć? Łukasz jada rano płatki czekoladowe zalane ciepłym mlekiem. O, popatrz, są w tej szafce — wskazała ręką.

— A ja mu dałam co? Przyznaję, o podgrzaniu mleka nie pomyślałam.

— Płatki owsiane. One są do gotowania. Gotuje się je razem z mlekiem. Inaczej chyba nikt tego nie zje.

Aśka szybko wylała zawartość talerza do zlewu i równie szybko na kuchence pojawił się garnek z mlekiem.

— Zrobić ci kanapki? — zapytała i ku mojemu zdumieniu jej pytanie było skierowane do mnie.

*

Jakimś cudem spóźniłam się do pracy tylko pół godziny. Pierwszy raz w życiu spóźniłam się do pracy. Na szczęście nie było szefa. Współpracownicy przyglądali mi się ze zdumieniem, ktoś pozwolił sobie nawet na komentarz, że chyba nieźle wczoraj zabalowałam, tylko Marcin ze zrozumieniem pokiwał głową.

Znowu musiałam wcześniej wyjść z firmy. Projekt szkolenia dotyczącego zarządzania jakością dla jednego z naszych najlepszych klientów musi poczekać do jutra.

Odbierając Łukasza, zrozumiałam, o czym myślała Aśka, sugerując mi rano, że może mały powinien włożyć na siebie coś innego niż to, co dla niego przygotowałam. Niekoniecznie aksamitny garniturek. On nie wyglądał jak fleja, on wyglądał jak dwie fleje, jak cały batalion flej razem wziętych!